

Antoni Kliszewski.

Aniby nawet nikt nie powiedział, patrząc na pana Antoniego, że za jedenaście lat będzie już pobierać emeryturę... A płaci już 19 lat, choć artystą jest lat dwadzieścia i kilka...

Młody, przystojny, przyzwicie zaokrąglony, przypomina raczej obywatela, spożywającego *panem bene merentium*...

Rodem z Radomia w Królestwie. Gimnazjum tamże. Na scenie krakowskiej za Kozmiana. Grywał z bardzo wielkiem powodzeniem amantów i tu rozamorował się do tego stopnia, że nawet się ożenił z największą i najulubieńszą dziś artystką operetkową, słynną i nieocenioną Klisią.

Z Krakowa przybywa w roku 1891 do Lwowa, gdzie panowali pp. Schmidt i Szydłowski. Właśnie gdzieś w tym czasie ś. p. Lucyan Kwieciński założył w Stanisławowie stały teatr im. Al. hr. Fredry i nb. opuścił sam Lwów. Wtedy to pan Kliszewski objął po Kwiecińskim prawie cały jego bogaty repertuar, a więc przeważnie charakterystycznych amantów, młodych mężów francuskich i t. d. Był to eksperyment bądź co bądź dość ryzykowny, po takim Kwiecińskim, który należał do najlepszych artystów w całej Polsce, obejmować repertuar... A jednak pan Kliszewski miał tę odwagę, a wszystkie ówczesne recenzje chwałą pana Antoniego bardzo w każdej roli, a dość często zachwycają się jego grą... Tak grał rolę tytułową w Abrahamowicza „Mężu z grzeczności“, amanta w „Nerwowych“ i wszystkich amantów fredrowskich (jest wogóle aktorem fredrowskim) tudzież wiele wiele innych, a zawsze były oklaski, były bardzo pochlebne recenzje i lukę po ustąpieniu Kwiecińskiego wypełniał należycie, z powodzeniem. W tym czasie nie schodził z afisza i grywał stale amantów komicznych i lekkich za wszystkich dyrekcji, jakie potem nastąpiły, a nawet jeszcze w pierwszych latach dyrekcji Pawlikowskiego.



Antoni Kliszewski. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

Ale... oczywiście, że jest jakieś „ale...“ I pan Kliszewski może już mówić o jakimś „ale“.

Coś się tam zepsuło w królestwie kinkietów i szminek, gwiazda pana Kliszewskiego z powodów zewnętrznych zaczyna błędnąć... Od lat kilku

pomija się konsekwentnie tego zdolnego, a zasłużonego artystę przy obsadzaniu sztuk, nie tylko ze szkoda jego samego, ale nawet z uszczerbkiem dla ról, które zdają się jakby dla niego stworzone, a dostają się w ręce innych artystów, młodszych, bynajmniej nie więcej utalentowanych, a co najwyżej zasłużonych więcej sztuką... niskiego kłaniania się... Jeżeli u kogo, to u p. Pawlikowskiego nie to powinno być pobudką forytowania artystów i wierzę chętnie, że po uporaniu się z kłopotami administracyjnej natury, zwróci swe baczne, a tak czułe oko dyrektorskie, w stronę modelu niniejszej sylwetki...

Bo pan Kliszewski jest zdolnym i sumiennym artystą, potrafi i chce pracować, a sam dyrektor nieraz już nie szczędził mu słów prawdziwego uznania. Tak samo inni koledzy. Po nieboszczyku Romanie grał sędziego prowincjonalnego w sztuce Kisielewskiego „W sieci“, a grał bardzo dobrze. Wszyscy mu gratulowali.

W ogólności przechodzi obecnie z amantów do charakterystycznych, co jest dowodem wielostronności talentu, a tę należy wykorzystać. Jest to zadaniem reżyserii nie usypiać artystów... a pan Kliszewski jeszcze nie śpiący. Człowiek w kwiecie sił i wieku, przy tym talencie potrafi jeszcze pracować...

Tylko, że p. Antoni sam zbyt bierze sobie wszystko do serca, traci ufność w siebie, ociąga się i cofa z codziennego wiru, staje się pomału mizantropem — a to nie bardzo wskazane...

Rozchmórz więc czołc, panie Antoni, wszystko się zmieni na lepsze, dyrektor Pawlikowski setny chłop, artysta pierwszej wody, a zatem wie, co się artyście należy...

A za lat kilka urządzimy ci ćwierćwiekowy jubileusz, podczas którego nasz solenizant z wielokoduszny uśmiechem wspominać będzie tę pauzę artystyczną, a przytem rumienić się będzie, że ten, co obchodzi 25 lat pracy na scenie, tak lekkomyślnie młodo wygląda... *Ad multos annos...* Klewe.

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

2 (Ciąg dalszy).

Stosownie do planu, jaki sobie ułożyli jeszcze na pokładzie okrętu, wszyscy troje wsiadli do jednej doróżki i udali się do „Hotelu czterech pór roku“, który mister Parker uważał za jeden z najlepszych w Hamburgu.

— Hm! wszystko to byłoby bardzo piękne i dobre — rzekł stary Springer, wchodząc do pokoju swojej córki, po zmianieniu toalety — ale przyznam ci się, że na samym wstępie spotkało mnie niemałe rozczarowanie. I pewnie, gdyby nie raść, że po dwudziestu sześciu latach stanąłem wreszcie na ziemi ojczystej, owładnąłby mnie smutek z tego powodu...

— Smutek?!... więc to naprawdę coś tak ważnego, mój ojczu?

— No, nic tak znowu ważnego! — rzekł Springer, całując córkę w czoło — ot, poprostu wmówiłem w ciebie, że mój brat, Franciszek, przybędzie na moje powitanie do Hamburga i przyjmie mnie sam w przystani. Dlatego też powiadomiłem go najdokładniej o dniu i godzinie naszego przybycia, dlatego wymieniłem mu i okręt, którym przyjedziemy. W porcie o mało co nie rzuciłem się w objęcia jakiegoś całkiem obcemu człowiekowi, ale, szczęściem, na czas jeszcze przypomniałem sobie, że przez te dwadzieścia sześć lat Franciszek, tak samo, jak ja, musiał się zmienić i postarzeć, że zatem nie może mieć ani takich krucznych włosów, jak ów nieznajomy, który mi go przypomniał na pierwszy rzut oka...

Helena spojrzała na staruszkę z nietajoną ciekawością.

— Ale dlaczego to, mój ojczu, nigdy nie wspominałeś o tym stryju, którego mamy odwiedzić? — zapytała. — Doprawdy, że mu będzie bardzo przykro, gdy zaczniecie sobie obaj wspominać o swej młodości, a ja na jego pytanie, czy słyszałam coś o tem, powiem, że nie wiem o niczym!...

Springer z dziwnym jakimś uśmiechem utkwiał swoje błyszczące oczy w twarz dziewczęcia.

— O to możesz być całkiem spokojną, moje kochanie! — szepnął cichym głosem — *on ci*

z pewnością ani słówkiem nie wspomni o naszej młodości! *on* nigdy! On ma ku temu ważne powody.

— Ach, rozumiem! zapewne żyliście i rozstałiście się na złej stopie! — rzekła ze smutkiem Helena — opowiedz mi coś o tem, mój ojczu.

— Nie, Heluś! nie! To wszystko już dawno pogrzebane w zapomnieniu, już nawet trawa nie pamięci nad tem porosła. Pocóż więc krwawić serce i rozdzierać na nowo zagojone rany?! Postarzeliśmy się już obaj i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy chcieli takimi myślami zatruwać sobie resztki życia. Doprawdy! mimo całej tęsknoty do ojczyzny, pewniebym tu nie przybył, gdybym nie wiedział na pewno, że Franciszek w tym kierunku jest tego samego zdania, co i ja. Sam pisał mi o tem jeszcze przed dwoma laty, gdy tylko wezwałem go, aby trzymał w pogotowiu moje skarby, które przeznaczyłem dla ciebie, moje dziecko.

— Skarby? to ty masz skarby u stryja, mój ojczu?

— O, jeszcze jakie! — uśmiechnął się wesoło staruszek — toż to dopiero ze zdziwienia otworzysz oczy, gdy się dowiesz, jaka jesteś bogata! Dalibóg! nie wiem, czy dużo będzie w tym kraju takich dobrych partyj, jak miss Helena Springer!...

— Ależ, ojczu! — szepnęło młode dziewczę z wyrzutem w głosie.

Rudolf Springer ujął jej twarzyczkę w obie dłonie i złożył na jej czole serdeczny, ojcowski pocałunek.

— Nie gniewaj się malutka — rzekł z wesołym uśmiechem — stary jestem, ale nie ślepy i zdaje mi się, że tam za oceanem, zostawiliśmy kogoś, do kogo rwie się nam serduszek! Co?...

Zanim Helena zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi i w progu stanął kelner z zapytaniem, czy państwo nie chcą przed obiadem zwiedzić miasta, pod przewodnictwem mister Parkera. Springer wraz z córką chętnie zgodzili się na tę propozycję i przez parę godzin w towarzystwie Anglika jeździli po starym mieście, w którym było do widzenia wiele ciekawych, nieznanych im wcale osobliwości. Parker, jak zawsze, tak i teraz, był bardzo milczący, ale jego krótkie, lakoniczne objaśnienia nie pozostawiały nic do życzenia i dowodziły, że Hamburg zna, jak swoją kieszeń i że nieraz dłuższy czas musiał przebywać w tem mieście. Interesy, jakie go tutaj sprowadziły, nie były widocznie tak pilne, skoro po obiedzie znowu był na usługi Springerów i nad wieczorem proponował im udać się do teatru. Springer, którego

radość z powrotu do ojczyzny nie miała wprost granic, od razu zgodził się na ten projekt i tylko Helena, którą wycieczki po mieście i długa podróż zmęczyły ogromnie, postanowiła zostać w hotelu i udać się zaraz na spoczynek.

Nie chciała jednak zezwolić na to, aby ojciec z jej przyczyny pozbawił się rozrywki, do której miał widoczną ochotę. Staruszek nie dał się jej długo prosić i poszedł z Anglikiem do teatru.

Zaledwie jednak drzwi zamknęły się za oboma mężczyznami, Helenę ogarnęło jakieś złe przeczucie — którego nigdy przedtem nie doświadczała w swym życiu. Zrazu nawet chciała pobiedz za ojcem i prosić, aby jej nie opuszczał, ale niebawem sama zawstydzila się tej swojej bojaźliwości — której nie umiała wytłumaczyć staruszkowi.

Spokojnie więc zamknęła na klucz drzwi od pokoju, przeciągnęła się wygodnie na małym szelognu, odpięła na piersiach sukienkę i wydobyła z tego uroczego schowku starannie złożony list, skreślony pewną, energiczną ręką mężczyzny. Drogim sercu dziewczęcia musiał być autor tego listu, Helena bowiem, przeczytawszy raz i drugi treść listu, przycisnęła go do ust i złożyła długi, gorący pocałunek, poczem, schowawszy go znowu na piersiach, przeciągnęła się leniwie i przymknęła swe cudne oczęta. Zrazu czuła, że zmęczenie ogarnęło jej wszystkie członki, że sen skleja jej powieki — chwilę walczyła z nim, ale bezskutecznie. Morfeusz, jeden jedyny mężczyzna, o którego nikt nie może być zazdrosny — utulił ją w swym objęciu...

Głośne pukanie do drzwi zbudziło ją ze snu, który musiał trwać bardzo długo, bo świece dopalały się już w lichtarzach. Więcej przeczuwając coś złego, niż bojąc się sama o siebie, drżącym głosem spytała, kto to jest i odetchnęła z ulgą, usłyszawszy łamaną niemczyzną Parkera, który swoim flegmatycznym, obojętnym głosem odezwał się na korytarzu:

— Przepraszam panią, miss Springer, jeśli pani przeszkodziłem, ale byłem przekonany, że to jest pokój pani ojca...

Helena zerwała się z kanapki i otworzyła szybko drzwi. Przed nią stał mister Parker, w swym długim kraciastym płaszczu podróżnym, tak, jak wieczorem opuścił hotel z jej ojcem i skłonił się jej uprzejmie.

(Ciąg dalszy nastąpi).